

Karel Capek "Marta i Maria"

"Z drugiej strony Biblii. Antologia noweli biblijnej" wybrał i opracował ks. Marek Starowieyski, wyd. Świętego Wojciecha, Poznań 2017

"W dalszej ich podróży przyszedł do jednej wsi. Tam pewna niewiasta, imieniem Marta, przyjęła Go do swego domu. Miała ona siostrę, imieniem Maria, która siadła u nóg Pana i przysłuchiwała się Jego mowie. Natomiast Marta uwijała się koło rozmaitych posług. Przystąpiła więc do Niego i rzekła: Panie, czy Ci to obojętne, że moja siostra zostawiła mnie samą przy usługiwaniu? Powiedz jej, żeby mi pomogła. A Pan jej odpowiedział: Marto, troszczysz się i niepokoisz o wiele, a potrzeba <mało albo> tylko jednego. Maria obrała najlepszą część, której nie będzie pozbawiona". (Łk 10,38-42)

Tego wieczoru przysła Marta do sąsiadki swej Tamar, żony Jakuba Grünfelda, która leżała w połogu.

A widząc, że żar na kominie gaśnie, dołożyła drew i usiadła przy palenisku, by rozniecić ogień. Gdy zaś buchnęły płomienie, patrzyła Marta w ogień i milczała.

Wtedy rzekła pani Tamar:

- Bardzo pani zacna, Marteczko. Tyle się pani trudzi, sama nie wiem, jak się pani odwdziaczyć.

Ale Marta nie rzekła nic, nie odwróciła nawet oczu od ognia.

Więc zapytała pani Tamar, mówiąc:

- Czy to prawda, Marteczko, że był dziś u was Rabbi z Nazaretu?

I odpowiedziała Marta:

- Był.

I złożyła pani Tamar ręce, i rzekła:

- Pewnie się pani ucieszyła, panno Marto; wiem, do nas On by nie przyszedł, ale pani na to zasługuje, z pani jest taka dobra gospodyni.

Wtedy pochyliła się Marta nad ogniem i poprawiając polana, mówiła:

- Powiem pani, że wołałabym się pod ziemię zapaść, pani Tamar. Gdzieżby mi przyszło do głowy, że teraz, przed świętami... Dobrze, myślę sobie, najpierw urządzę pranie.... Wie pani, ile nasza Maria bielizny nabrudzi. Więc rzucam właśnie na tą kupkę te brudy. Aż tu naraz: „Dzień dobry, dziewczęta”, i On stoi na progu!

Ja zaczynam wołać: „Mario, Mario, chodź no tu”, aby mi jakoś pomogła posprzątać prędko ten stos koszul! - Maryśka przylatuje rozczochrana i na Jego widok jak zacznie krzyczeć, niczym pozbawiona rozumu: „Mistrzu, Mistrzu, Tyś do nas przyszedł?”. I bums, już pada przed Nim na kolana, szlocha i całuję Mu ręce.

Może sobie pani wyobrazić, pani Tamar, jak ja się za nią wstydziłam; co sobie Mistrz musiał pomyśleć, taka roztrzęsiona histeryczka, a tu wszędzie te brudne szmaty;

z trudem wykrztusiłam: „Mistrzu, odpocznij sobie”, i zbierałam tę bieliznę; a Maria Go ciągnie za rękę i błaga: „Mistrzu, mów, opowiedz nam coś, Rabbi!”.

Niech sobie pani wyobrazi, pani Tamar, ona do niego mówi „Rabbi”! A tu wszędzie bałagan, wie pani, jak to przy praniu, ani nie zamiecione. Co On sobie musiał o nas pomyśleć!

- No wie pani, Marteczko - Pocieszała ją pani Grünfeldowa - mężczyźni nawet nie zauważą takiego nieporządku. Ja ich znam.

- Żeby nawet - Oświadczyła Marta z zawzięcie błyszczącymi oczami. - Porządek musi być. Proszę posłuchać, pani Grünfeldowa, gdy Mistrz był na obiedzie u tego celnika, to Maria potrafiła Mu nogi umyć łzami i obetrzeć własnymi włosami.

Powiem pani, pani Tamar, ja bym czegoś podobnego nawet nie śmiała zrobić, ale chciałabym, aby miał pod nogami przynajmniej czystą podłogę. Właśnie. I położyć przed Nim ten piękny kobierczyk, wie pani, ten z Damaszku. A nie brudną bieliznę. Obetrzeć Mu nogi łzami i włosami - to Maryśka potrafi; ale żeby się choć uczesała, gdy przyjdzie, to nie, a zamieść przed Nim podłogę, to także nie. Tylko kucnąć przed Nim na ziemi i zrobić takie - o! - oczy, „a teraz opowiadaj, Rabbi!”.

- I opowiadał? - pytała ciekawie pani Tamar.

- Opowiadał - ciągnęła Marta powoli. - Uśmiechał się i mówił do Marii.

Wie pani, a ja rzuciłam się sprzątać tę bieliznę i potem podać Mu choćby odrobinę koziego mleka i kawałek chleba - wyglądał na strudzonego i zmęczonego; już miałam na języku: „Mistrzu, przyniosę Ci poduszki, odpocznij chwileczkę, zdrzemnij się, my będziemy cicho jak duszki, nawet oddychać nie będziemy”, ale wie pani, pani Grünfeldowa, człowiek Mu nie chce przerywać. Chodziłam więc na palcach, żeby się Maria domyśliła, że powinna być cicho, ale gdzie tam! „Opowiadaj jeszcze, Mistrzu, proszę, proszę, jeszcze coś”, a On, złoty człowiek, uśmiechał się i mówił.

- Ach, tak bym chciała słyszeć, co mówił - westchnęła pani Tamar.

- Ja także, pani Tamar - rzekła sucho Marta. - Ale ktoś musiał dla Niego wystudzić mleko, aby było świeże. I ktoś musiał wybrać trochę miodu do chleba. Potem skoczyć do Efraimów - obiecałam Efraimce, że doglądnię jej dzieci, bo ona musi iść na targ - wie pani, nawet taka stara panna jak ja także się czasem przyda.

Gdybyż choć nasz brat Łazarz był w domu! Lecz gdy Łazarz rano zobaczył, że zanosi się na pranie, powiada: „Już mnie nie ma, dziewczęta; ale ty Marto, uważaj, gdyby tędy szedł ten sprzedawca korzeni z Libanonu, kup dla mnie herbatę na piersi”. Nasz Łazarz bowiem słabuje nieco na piersi, wie pani, bardzo z sił opada; i tak sobie wciąż myślałam, że gdyby Łazarz wrócił, dopóki tu jest Mistrz - wierzę, pani Grünfeld, że on by nam Łazarza uzdrowił; jak tylko słyszałam czyjeś kroki, leciałam od razu przed dom i wołałam na każdego: „Panie Aszer, panie Lewi, panie Isachar, gdyby pan spotkał brata Łazarza, niech zaraz, ale to zaraz przyjdzie do domu”, a przy tym wypatrywałam tego sprzedawcy korzeni; nie wiedziałam, co wpierw robić.

- Ja to znam- mówiła pani Grünfeldowa. - Z rodziną zawsze są kłopoty.

- Co tam kłopoty - mówiła Marta. - Ale widzi pani, pani Grünfeld, człowiek by także chciał posłuchać słowa Bożego.

Jestem tylko głupią kobietą, taką służącą jestem - mówię sobie, ktoś i to musi robić, ktoś musi gotować i prać, i naprawiać łachy, i sprzątać, skoro nasza Maryśka nie ma do tego usposobienia. Ona już nie jest taka ładna jak dawniej, pani Tamar; ale z niej była taka piękność, że... że ... że po prostu musiałam jej służyć, wie pani?

A przy tym każdy sobie myśli, że jestem zła - pani Grünfeldowa, pani to wie, zła i nieszczęśliwa kobieta nie może niczego dobrze ugotować, a ze mnie przecież nie najgorsza kucharka.

Skoro Maria jest piękna, niech Marta dobrze gotuje, czy nie mam racji? Ale, pani Tamar, to pani może także wie: czasem człowiek na chwilkę, tylko na chwileczkę opuści ręce na podołek, a wtedy mu przychodzą takie różne myśli: że może ci ktoś coś powie albo się na ciebie tak jakoś popatrzy... jakby ci mówił:

„Córko, miłość swoją nam ofiarujesz i całą siebie nam dajesz, nie szczędzisz swych sił i utrzymujesz całą czystość czystością swej duszy; wchodzimy do twojego domu, jakbyś to była ty sama, Marto, ty także na swój sposób wiele umiowałaś”.

- Ba, to się tak mówi - rzekła pani Grünfeldowa. - Ale gdyby pani, Marteczko, miała sześcioro dzieci jak ja, to by pani dopiero widziała.

Na to mówiła Marta:

- Pani Grünfeld, gdy tak na raz przyszedł On, Mistrz Nazarejski, aż się przelekłam: może ... może przychodzi powiedzieć mi to piękne, na co jakbym od tylu lat czekała... a tu właśnie taki nieporządek! Miałam serce w gardle, nie mogłam mówić... Powiedziałam sobie: „Głupia jestem, to przejdzie, tymczasem namoczę tę bieliznę i skoczę do Efraimowej, pošlę po naszego Łazarza i wygonię z podwórza kury, aby Mu nie przeszkadzały”.

A potem, gdy wszystko było w porządku, ogarnęła mnie taka cudowna pewność, że teraz jestem przygotowana do słuchania słowa Bożego. Więc cicho, cichuteńko weszłam do świetlicy, gdzie On siedział i mówił. Maria siedziała u Jego nóg, oczu z Niego nie spuszczała....- Marta zaśmiała się sucho.

- Przyszło mi na myśl, jakbym to ja wyglądała, gdybym tak na niego wytrzeszczyła oczy! A wtem On, pani Grünfeld, spojrzał na mnie tak łagodnie i jasno, jakby chciał coś powiedzieć. A ja na raz widzę, Boże, jaki On chudziutki! Wiadomo, nigdy nic porządnego nie zje, mojego chleba i miodu nawet nie tknął...

I o to mi wpadło na myśl: gołąbki! Przyrządzę mu gołąbki! Poślę po nie Maryskę na targ, a On sobie tymczasem chwileczkę odpocznie. – „Marysiu - powiadam - chodź no na chwilkę do kuchni”. Ale Maria nic, jakby była ślepa i głucha.

- Nie chciała zostawić gościa samego - łagodziła pani Tamar.

- Lepiej by pomyślała - rzekła twardo Marta - aby miał co zjeść; od tego jesteśmy my, kobiety no nie? A gdy widziałam, że Maria nic tylko patrzy jak w zachwyceniu, to - pani Tamar, sama nie wiem, jak to się stało, ale musiałam powiedzieć:

„Panie, czy Ci jest obojętne, że moja siostra zostawia mnie samą do posługi? Powiedz jej, niech mi w kuchni pomoże!”. Tak mi się wyrwało!

- No i powiedział jej? - spytała pani Grünfeldowa.

Na to łzy popłynęły z zaczerwienionych oczu Marty.

- „**Marto, Marto, troszczysz się i starasz o wiele rzeczy: ale jednego potrzeba, Maria lepszą wybrała część i tej nikt jej nie odbierze**”. Tak jakoś to, pani Tamar, powiedział.

Przez chwilę było cicho.

- I to było wszystko, co powiedział? -ypytywała pani Tamar.

- Wszystko, co wiem - powiedziała Marta, ocierając kulką łzy. - Potem poszłam kupić te gołąbki - to są złodzieje ci na targu, pani Grünfeld - i upiekłam je, i ugotowałam dla pani zupę z gołąbich dróbek.

- Wiem - mówiła pani Grünfeldowa - Pani jest bardzo pocziwa, Marteczko.

- Nie jestem - przerwała Marta. - Żeby pani wiedziała, pierwszy raz mi się przytrafiło, żem gołąbków nie dopiekła. Były twarde; ale ja... mnie wszystko z rąk leciało. Bo ja w Niego tak ogromnie wierzę, pani Tamar.

- Ja także - powiedziała pobożnie pani Tamar. - I co mówił jeszcze, Marteczko? Co mówił do Marii? Czego nauczał?

- Nie wiem - rzekła Marta. - Pytałam się Marii, ale wie pani, jaka ona narwana... „Ja już nie wiem - mówiła - na moją duszę, nie mogłabym ci uczciwie powiedzieć ani słowa, ale było to tak cudownie piękne, Marto, i jestem tak niezmiernie szczęśliwa...”

- To także wiele znaczy - przyznała pani Tamar.

Wtedy Marta hałaśliwie wysmarkała nos po płaczu i rzekła:

- Niech no pani da, pani Grünfeld, przewinę pani tego brzdąca.